

## **Tomasz Merta: Przytakiwanie istnieniu**

Celem filozofii politycznej – a więc także i tych myślicieli, którzy uznają swoje pokrewieństwo z konserwatyzmem – jest budowa, utrzymanie i pielęgnacja sprawiedliwej wspólnoty politycznej. Tu jednak wyłania się zasadnicza trudność. Jak konserwatysta afirmatywny miałby rozstrzygać, co jest, a co nie jest sprawiedliwe? – pytał Tomasz Merta w recenzji książki „Ciągłość i zmiana” Marka A. Cichockiego.

Czy konserwatyście wypada źle pisać o konserwatyzmie? Jest przecież raczej zwyczajem bić się w cudze a nie swoje piersi. Nic dziwnego, że pierwsze wrażenie z lektury książki Marka Cichockiego jest dość zaskakujące. Oto zamiast doskonale przewidywalnych rozważań o potrzebie ciągłości i o tym, że w stale podupadającym świecie trzeba bronić minionego czasu i próbować ożywiać martwe formy, zamiast natarczywej agitki otrzymujemy konserwatywny worek pokutny. Autor obnaża słabości immanentnie obecne w najbardziej rozpowszechnionej wersji konserwatyzmu, który określa mianem tradycjonalizmu. Wbrew pozorom nie mamy jednak do czynienia z aktem autodestrukcji. Cichocki na zakończenie nie składa samokrytyki za swe konserwatywne inklinacje ani nie wyrzeka się konserwatywnych przekonań. Za cel stawia sobie raczej pytanie o to, czy możliwe jest pomyślenie i praktyczna realizacja takiego modelu konserwatyzmu, który byłby wolny od owych słabości.

O jakich słabościach tutaj mowa? Otóż konserwatyzm, pojmowany jako specyficzny prąd myślowy w polityce, powstały jako trwały skutek sprzeciwu wobec antytradycjonalizmu oświeceniowych filozofów i rewolucji francuskiej, zawsze niejako znajduje się w fałszywej sytuacji. Jego podstawowym postulatem jest zachowanie ciągłości i ochrona istniejącej rzeczywistości przed zagrożeniem racjonalistyczną abstrakcją. Tradycjonalizm chciałby więc bronić rzeczywistości istniejącej przed rzeczywistością arbitralnie postulowaną, ale do działania pobudza go dopiero upadek tego, co pragnie zachować. Uświadamia sobie wartość tego, co istnieje w momencie, w którym owo istnienie słabnie, znika. Konserwatysta uzyskuje świadomość swego politycznego stanowiska wraz z dojmującym poczuciem braku – braku przedmiotu konserwacji. Nic dziwnego, że tradycjonalizm sprowadza się do irracjonalnego resentymentu, odruchu sprzeciwu wobec otaczającego świata. Nieoczekiwanie tradycjonalista upodabnia się do swych największych wrogów: kontestatora i rewolucjonisty. Tak jak oni buntuje się przeciw zastanemu światu, odrzuca go, pragnąc zastąpić własną wizją idealnego porządku. Ta wizja nie jest czysto arbitralna, ale oparta na pewnej interpretacji (a najczęściej i idealizacji) przeszłości. Nic to jednak nie zmienia: tradycjonalista nie broni rzeczywistości, lecz nieustannie atakuje ją w imię przeszłości.

Wizja pułapki, w jaką często popada myślenie tradycjonalistyczne, jest u Marka Cichockiego zapewne trochę przerysowana, trudno jednak odmówić tej krytyce trafności. Jeśli konserwatyzm istotnie miałby się sprowadzać jedynie do obrony przeszłości, zawsze skazany byłby na anachroniczność i klęskę. Willmoore Kendall pisał swego czasu, wyrażając swe nieukontentowanie kierunkiem, w którym zmierzał amerykański obóz konserwatywny, że konserwatyści są jedyną znaną mu armią, która wyrusza do boju, wołając: „Przegrywamy!

Przegrywamy! Ale jaka to piękna walka...”. Kendall postulował, by za przedmiot konserwacji uznać nie tradycje przeszłości, ale raczej zrekonstruowany konsensus podstawowy danej wspólnoty politycznej – zespół wartości, przekonań i instytucji stanowiących jej prawdziwy fundament. W takiej sytuacji konserwatywny stosunek do modyfikowania rzeczywistości mógłby zostać zniuansowany: konserwatysta sprzeciwiałby się tylko tym zmianom, które podważałyby ową podstawową zgodę.

Rozwiązanie to, mniejsza o jego sensowność, wskazuje, dokąd zmierzają krytycy najbardziej rozpowszechnionej formy tradycjonalizmu. Otóż idzie im o to, by uwolnić konserwatyzm od historycznego kontekstu rewolucji francuskiej, zdefiniować konserwatyzm tak, żeby objawił się jako pozytywna propozycja polityczna, niedająca się sprowadzić do jakiejś formy reaktywności.

Takie poszukiwania zasługują na szczególną uwagę, jako że są zarówno intelektualnej odwagi, jak i zrozumienia wagi problemów stawianych przez współczesną filozofię polityczną. Do grona owych odważnych poszukiwaczy nie historycznych, lecz ontologicznych podstaw konserwatyzmu niewątpliwie dołącza autor Ciągłości i zmiany, proponując, by tradycjonalistyczną wersję konserwatyzmu zastąpić inną, nazwaną afirmatywną.

Konserwatysta afirmatywny – pozytywny bohater książki Marka Cichockiego – rozpoczyna od uznania zmienności rzeczywistości, od afirmacji zmiany. Nie broni *status quo*, a już tym mniej *status quo* z przeszłości, lecz próbuje odnaleźć się w świecie z natury zmiennym. Nie odwraca się tyłem do tego, co jest, lecz czyni rzeczywistość

podstawą swoich działań. Jest ona dana, ale sens rzeczywistości dopiero ma być nadany – i to właśnie jest zadaniem konserwatysty afirmatywnego. To on ma uporządkować konsekwencje zmiany, to on ma doprowadzić do odzyskania całościowej wizji człowieka i świata.

Czy taki konserwatyzm jest w ogóle możliwy? I co jest w nim prawdziwie konserwatywnego? Autor próbuje pokazać to na przykładach, przedstawiając myśli Friedricha Nietzschego, Jakoba Burckhardta i Carla Schmitta. W analizach, będących dowodem imponującej erudycji autora i jego dobrej znajomości niemieckiej filozofii politycznej, dane jest nam zobaczyć, w jaki sposób można konstruować taki styl myślenia politycznego, który byłby silnie zakorzeniony w nieustannie płynącym strumieniu rzeczywistości, od niej wychodził i tylko w niej szukał uzasadnienia dla wartościowania i przesłanek, z jakich wyprowadzane są cele działania.

Konserwatyzm afirmatywny, tak zdefiniowany, zmierza nieuchronnie w stronę jakiejś formy decyzyzmu politycznego. Skoro jesteśmy zanurzeni całkowicie w rzeczywistości i nie możemy wyjść z niej, by się jej z dystansu przyjrzeć i ocenić, pozostaje nam tylko działanie w warunkach niepełnej wiedzy i zawierzenie autorytetowi, który co prawda znajduje oparcie w rozumie, ale w istocie rzeczy daje się zredukować do ludzkiej woli.

Konserwatyzm afirmatywny nie popada w anachronizm, nie zwraca się ku przeszłości i w tym sensie jest dowodem dobrze przemyślanej lekcji niemieckich tradycjonalistycznych romantyków, którzy stali się błędnymi – a co za tym idzie dość komicznymi – rycerzami konserwatywnego resentymentu. Taki konserwatyzm daje się pomyśleć

zawsze i wszędzie – zarówno w świecie przedrewolucyjnym, jak i porewolucyjnym. Nie znaczy to jednak, że jest w pełni satysfakcjonującym rozwiązaniem.

Celem filozofii politycznej – a więc także i tych myślicieli, którzy uznają swoje pokrewieństwo z konserwatyzmem – jest budowa, utrzymanie i pielęgnacja sprawiedliwej wspólnoty politycznej. Tu jednak wyłania się zasadnicza trudność. Jak konserwatysta afirmatywny miałby rozstrzygać, co jest, a co nie jest sprawiedliwe? Ocena jest możliwa tylko wtedy, gdy dysponujemy jakimś wzorcem, jakimś układem odniesienia. Skoro konserwatysta afirmatywny uznaje pierwotny charakter zmiany, to właśnie zmiana każdorazowo określa status rzeczywistości i praktycznie tylko ona może być układem odniesienia. Z racji swej płynności układ ten jest jednak bez znaczenia. Jeśli rzeczywistość jest zawsze uprawniona przez sam fakt swego zaistnienia, to nie widać sposobu, w jaki można by ją oceniać, czynić porównania między różnymi okresami czy miejscami, rozstrzygać, że coś jest lepsze.

Konserwatyzm afirmatywny pojmowany jako bezwarunkowe, ciągłe „przypisywanie istnieniu” jest projektem autodestrukcyjnym – trudno byłoby powiedzieć, gdzie mieściłby się w nim element konserwatywny. Wszystko jest takie, jakie jest i nikt nie ma żadnego tytułu, by spróbować rzeczywistość zmieniać, by działać i nadawać jej jakiś nowy sens. Czemu jeden sens należałoby przedłożyć nad inny? Konserwatyzm afirmatywny wydestylowany z myśli Nietzschego zdaje się być niepokojąco podobny do innych współcześnie produkowanych z dzieł niemieckiego filozofa napojów. Spotkanie konserwatysty i postmodernisty nad grobem Nietzschego budzi jednak poważne podejrzenia co do rzeczywistej tożsamości tego pierwszego.

Być może jednak jest tak, że projektu konserwatyzmu afirmatywnego nie należy pojmować jako radykalnego zerwania z możliwością wartościowania rzeczywistości. Zapewne istnieją jakieś granice w „potakiwaniu istnieniu”. Sam autor zdaje się w zakończeniu książki skłaniać do przyjęcia takiego właśnie stanowiska: „Wobec faktu problematycznej natury człowieka, to nie przeszłość w pierwszym rzędzie uzasadnia ludzkie działanie, lecz rodzina, wspólnota polityczna i wiara w Sąd Ostateczny”. Skoro tak, to niewątpliwie pewne elementy rzeczywistości – na przykład rodzina – dają się z niej wyróżnić, oddzielić i uczynić niezależnym układem odniesienia, podstawą wartościowania. Skoro patrzę na rzeczywistość z punktu widzenia rodziny, to mogę wskazać te miejsca i te okresy, kiedy jest ona silniejsza i te, w których słabnie. Nie mogę rzecz jasna cofać się i powrócić do tego, co było, ale mogę podjąć działania mające na celu zmianę aktualnego stanu rzeczy na taki, który uważam za właściwy czy pożądany. Konstrukcja wydaje się logiczna i rozumna, ma jednak tę wadę, że konserwatysta afirmatywny upodabnia się w niej do odsądzanego od czci i wiary tradycjonalisty. Jeśli bowiem wartościuję i uznaję obecny stan za niezadowolający, wpadam w tradycjonalistyczną pułapkę, bo neguję zastaną rzeczywistość zamiast ją afirmować.

Wniosek nie jest specjalnie zachęcający: albo konserwatysta afirmatywny jest jedynie bytem pozornym, bezwonnym i bezbarwnym, albo też okazuje się być kolejnym wcieleniem konserwatywnego tradycjonalisty, tyle że biegłym w sztuce retoryki i maskowaniu immanentnych trudności doktryny. Pomysł ratowania konserwatyzmu poprzez odcięcie się od tego wszystkiego, co przywykliśmy z konserwatyzmem kojarzyć, przypomina dykteryjkę o urzędnikach

kolejowych, którzy dowiedziawszy się, że najwięcej wypadków przytrafia się ostatnim wagonom, zdecydowali się od każdego pociągu ostatni wagon odczepić...

Te krytyczne uwagi pod adresem pozytywnego programu przedstawionego w książce Marka Cichockiego w żadnym razie nie podważają jej znaczenia. Już samo zdefiniowanie problemów i postawienie trafnych pytań zasługuje na pochwałę. Krytyka resentymentalnego tradycjonalizmu także zdaje się bardzo celna. Także konserwatyizm afirmatywny może okazać się całkiem użytecznym wynalazkiem, jeśli tylko uznać go nie za samoznający się byt teoretyczny, ale za dyrektywę wskazującą, czego powinien unikać kierujący się cnotą roztropności konserwatysta. Powinien więc unikać totalnej negacji rzeczywistości i apokaliptycznego tonu, skoncentrować się raczej na małym niż wielkim, nie wieszczyć apokalipsy, lecz szukać praktycznych rozwiązań konkretnych spraw. Nie powinien odrzucać teraźniejszości na rzecz arkadyjskiej przeszłości, lecz wszystkie wysiłki skoncentrować na tym, by ewoluowała ona w stronę, którą uważa za bardziej godną pochwały. Konserwatyzm zakłada więc przynajmniej elementarne zaufanie do tego, co jest, dlatego też konserwatyści nie mogą być wiecznymi kontestatorami i buntownikami, muszą ćwiczyć się w trudnej sztuce czynienia rozróżnień, by oddzielić to, co dobre i pożyteczne, od tego, co złe i nieużyteczne.

*Tomasz Merta*

*Recenzja pochodzi z czasopisma „Kwartalnik Konserwatywny”, Lato 1999.*